



ROZDZIAŁ I

Wiosna 1984 r.

Pociąg relacji Warszawa - Gdańsk turlał się leniwie z wrodzoną sobie opieszałością. Rozkoszne słońce było bardzo wylewne i bogate w swojej obfitości, tu i tam zaczynała majaczyć dziewczęca zieleń, a Telewizja Polska transmitowała w tym czasie mecze piłki nożnej w ramach rozgrywanych wtedy Mistrzostw Europy. Wszystko to nie miało w tym czasie dla mnie najmniejszego znaczenia, liczyło się coś zupełnie innego. Siedząc gdzieś przy oknie w wagonie drugiej klasy, tępo patrzyłem na przelatujące, mazowieckie krajobrazy.

Dzień wcześniej wyszedłem ze szpitala psychiatrycznego w radomskich Krychnowicach. Warunkiem opuszczenia oddziału zamkniętego było przymusowe leczenie, co oznaczało wyjazd do ośrodka w Zapowiedniku w województwie ówczesnym gdańskim, do którego to skierował mnie punkt konsultacyjny Stowarzyszenia MONAR z ulicy Hożej w Warszawie.

Trzy tygodnie wcześniej IV oddział zamknięty krychnowickiego szpitala „serdecznie” przywitał mnie średnio urokliwym spojrzeniem kilku nafaszerowanych psychotropami i nieufnie patrzących pacjentów oraz obrzydliwą herbatą z wiadra w aluminiowym, półlitrowym kubku. Kilka razy wcześniej - w ciągu ostatnich pięciu lat - bywałem już na "krychnowickich salonach", więc wydawać by się mogło, że wjeżdżałem tam jak do siebie.

Czułem się podle.

Ostatni kilkumiesięczny cug był szczególnie intensywny, ponieważ z grupą moich kumpli "od pompki" doszliśmy do swego rodzaju doskonałości w produkcji kompotu. Był bardzo mocny, bardzo szkodliwy i bardzo uzależniający.

Strach przed głodem narkotycznym - zwanym w naszym slangu "ssaniem" - był zawsze ogromny. Moja codzienność wtedy, to był po prostu dramat. Ówczesne dni to albo produkcja na jakiejś parszywej melinie, w smrodzie, w oparach amoniaku, rozcieńczalnika i kilku innych pseudo afrodyzjaków, albo krótki błogostan po przywaleniu kolejnej działki, albo załatwianie gratów i odczynników do następnej produkcji. Jednym słowem przejebane.

Nie miało to nic wspólnego z jakąkolwiek przyjemnością. To taka przyjemność jak moczenie nocne: chwilowa ulga, ale w ogóle nie rozwiązuje problemu.

Dwadzieścia jeden lat, 186 cm wzrostu 67 kg waga. Ówczesni ekonomiści mówili na takich jak ja: "Długi jak miesiąc, a chudy jak wypłata". Miałem skrajnie wycieńczony organizm, zwiąłem się z bólu, mdlałem z osłabienia, wymioty, mdłości, dreszcze, sraczka, bardzo mocne bóle reumatyczne, myślałem wtedy, że nie wytrzymam tego detoksu.

Nie wiedziałem wtedy czy bardziej bałem się, że zejdem, czy że sobie coś zrobię nie wytrzymując bólu. Wiedziałem też - jako stały bywalec oddziałów zamkniętych - że większości pacjentów, moim towarzyszom niedoli, podawany był lek Fenactil.



Fenactil to mocny środek psychotropowy, powodujący u delikwenta uspokojenie, poczucie senności, czyli generalne zamulenie organizmu. Nam, osobom na detoksie, oprócz znikomych środków przeciwbólowych i kroplówki, nie podawano praktycznie nic.

Oczywistym było to, że pierwsza noc będzie najtrudniejsza – ssanie w tę pierwszą noc na głodzie - obsesyjnie się jej bałem. Wymyśliłem wtedy, że w czasie kolacji, gdy panie pielęgniarki będą jak zwykle rozdawać lekarstwa moim współbiednikom, to ukradnę któremuś z nich chociaż jedną tabletkę tamtejszego mózgojeba, może jakieś Relanium i może uda mi się na tyle zamulić swój cherlawy organizm, żeby chociaż na krótką chwilę zasnąć. Udało się dogadać z dwoma pacjentami, że ja im dam zajarać dobrego szluga, ale pod warunkiem, że oni oddadzą mi część swojej wieczornej porcji lekarstw.

Tak się też stało. Cztery pomarańczowe tabletki Fenactilu i cztery kapsułki Sineqanu to była moja działka, to miało być moje zbawienie i ulga w walce o przetrwanie nadchodzącej nocy. Połknąłem to wszystko za jednym zamachem koło godziny 20:00. Jako nowoprzyjęty pensjonariusz, łóżko miałem ustawione na korytarzu w pobliżu dyżurki pielęgniarek - taka niby obserwacja.

Po dłuższej chwili, gdy połknięta mieszanka wybuchowa zaczęła działać czułem, że tracę kontakt z rzeczywistością. Czułem ogromne zawroty głowy i resztkami świadomości pamiętałem jak dwóch bardzo silnych sanitariuszy przypięło mnie do łóżka skórzanymi pasami, a ja na siłę chciałem się uwolnić, krzycząc, grożąc im i wygadując najdziwniejsze bzdury, do czasu aż wreszcie zasnąłem skrajnie wycieńczony.

Wstyd mi było jak cholera, gdy sanitariusz opowiadał mi całą tę historię po krótkim czasie od tego zdarzenia, a personel miał ze mnie niezłą polewkę przez kolejnych kilka dni.

Pierwszy tydzień ciągnął się w nieskończoność. Permanentny ból, dreszcze, podle samopoczucie i bardzo słaby wycieńczony organizm. Wtedy właśnie - jak nigdy dotąd - panicznie bałem się, że nie przeżyję. Jezu, jak ja się obsesyjnie bałem! Strach mnie wręcz paraliżował, a w rozklekotanej emocjonalnie duszy kłębiły się miliony nastrojów i myśli – również tych samobójczych.

Mama przychodziła do mnie regularnie w odwiedziny przynosząc pyszne obiady, wszelkiej maści smakołyki i wszystko czego narkomańska dusza zapragnęła. Wszystko po to, żeby tylko ulżyć synkowi w cierpieniu. Zawsze w takich chwilach widziałem w jej kochanych oczach nadzieję, skrywany lęk i najwspanialszą matczyną miłość.

Kolejne dni upływały sennie, ale powoli zacząłem odzyskiwać jakąkolwiek siłę. W środowisku narkomańskim naszego miasta na bieżąco wiedzieliśmy, kto jest na detoksie, kto w ośrodku, kto z ośrodka uciekł, kto siedzi w pudle, kto jest w ostrym ciągu i u kogo można wysepić chociaż marną działkę towaru. Podobnie było i tym razem. Wieść o moim pobycie w Krychnowicach szybko rozeszła się w kręgu zainteresowanych.



Któregoś pięknego przedpołudnia, gdy siedziałem sobie na parapecie przy otwartym oknie beczynnym patrząc w dal, w pewnej chwili zobaczyłem jak zza muru pawilonu wyłania się postać i nagle usłyszałam znajomy głos jednego z moich kumpli narkomanów.

- Siemanko stary - wyszeptał kaprawo koleś.

- Cześć M..... - odpowiedziałem konfidencjonalnie.

- Tu na czwórce to przejebane jest - w ten sposób zaczyna rozmowę mój koleżka.

- Żebyś wiedział, że przejebane - szepnąłem automatycznie - Teraz to już mi trochę lepiej - mówiłem dalej, jednocześnie odpalając kolejnego papierosa - Jeszcze kilka dni temu to z wyrka się zwlec nie mogłem, a te bezduszne piguły niczym nie chcą poratować nieszczęśliwego pacjenta.

- Piguły to miej w dupie! - odpowiada mój ziomek i dalej ciągnie swoją bajerę - Jak chcesz to mam ze sobą trochę dobrego towaru i wystarczy, że chociaż ze dwa centy (cm3) dasz "po strunach" i w sekundę poczujesz się jak w niebie.

Momentalnie zrobiło mi się gorąco i czułem, że oblewa mnie zimny pot. Jeszcze chwilę wcześniej obiecywałem sobie, że już nigdy nie sięgnę po żaden towar i nawet w ten sposób odpowiedziałem mojemu rozmówcy, że nie chcę, bo najgorszą ssawę już przetrzymałem i zaczynam się coraz lepiej czuć.

Mój koleś, wyjątkowej urody cwaniak, z profesorską pewnością odpowiada mi stanowczo:

- Przecież jedziesz za kilka dni do ośrodka, tam będziesz się leczyć z nałogu i wróżę Ci długie życie w trzeźwości - wtrącił ironicznie - a teraz to przypierdol sobie strzała, bo towar mam naprawdę prima sort. - Na dowód czego wymachuje mi przed oczyma strzykawką z igłą i z brunatną substancją w środku. - I nockę przepisz całą i apetyt Ci wróci i za kilka dni też tu wpadnę to podrzucę ci kolejną działeczkę. - Dalej przekonywał mnie stanowczo.

Oczywiście moje wcześniejsze, mocne postanowienia okazały się być warte mniej niż przysłowiowy funt kłaków. Wyciągnąłem rękę przez okienną kratę, jednocześnie kiwając głową w geście zgody. Znów poczułem się w swojej narkomańskiej skórze i już kombinowałem czym sobie ścisnę rękę w przedramieniu, żeby szybko i sprawnie wprowadzić igłę do coraz bardziej zanikających żył.

- Zara, zara... - mówi mój koleś i delikatnie cofa rękę z towarem - wiesz, znamy się długo, lubimy się i nieraz z jednej pompki braliśmy koks, ale ten towar ma swoją cenę. Mogłem go sprzedać na mieście i nawet miałem chętnych - dalej opowiada podekscytowany - ale pomyślałem przyjacielu, że Ty będziesz potrzebował bardziej niż inni.

Oni mogą sami sobie zrobić towaru czy gdzieś kupić, a Ty jesteś zamknięty na świrowni i nie masz takich słodkich warunków, więc postanowiłem, że przyjacielu w biedzie trzeba poratować.

- Ty skurwysynu, Ty jebana gnido, Ty rurowo bardaszana! - Pomyślałem. To przecież kurestwo najwyższego sortu przynosić towar na odwyk i chcieć za to kasę.



Zauważył moje zdenerwowanie i pogardę, ale obaj udaliśmy, że jest git, bo on potrzebował kasę, a ja już podjąłem decyzję, że ta działka będzie moja.

Nie pamiętam ile to było w cyfrach, ale wiem też, że nie miałem takiej sumy. Miałem tylko część. Mama zostawiła mi pieniądze na wszelki wypadek, jakby się synkowi zachciało przysłowiowej gwiazdki z nieba, a że przychodziła do mnie praktycznie codziennie to i zostawianie większych sum nie miało sensu, tym bardziej, że jeszcze nie wypuszczali mnie z oddziału na teren szpitala, na tak zwany spacerniak.

Koleś szybko znalazł wyjście z sytuacji i zaproponował, że da mi połowę tego co było w strzykawce, ja mu dam całą kasę jaką mam, natomiast za kilka dni będzie niby tędy przejeżdżał, to przywiezie mi towaru ile będę chciał.

Tak się też stało. Wymieniliśmy szybko nasze dobra i od razu poszedłem do łazienki "przybić" działkę, a koleś czekał pod oknem na zwrot pustej strzykawki. Bardzo sprawnie zdjąłem górę od piżamy, rękawem ścisnąłem lewą rękę tuż nad łokciem, następnie kilka ruchów palcami w celu podpompowania krwi i uwypuklenia żyły i już po chwili poczułem to, co się w takich momentach czuje.

Poczekalem chwilę, aż przejdzie pierwsza mocna, gorąca fala i faktycznie w tym momencie poczułem się dobrze. Oddałem szybko koledze strzykawkę, jeszcze chwilę pogadaliśmy o newsach z radomskiego świata i mój koleś zniknął obiecując, że za kilka dni zjawi się ponownie, a ja poszedłem na łóżko i od razu twardo zasnąłem.

Dopiero będąc kilka miesięcy w ośrodku zrozumiałem jaki byłem słaby. Jak słaba i bezradna jest narkomańska natura, jaką ogromną siłę ma nałóg. Nie miałem nic do gadania w zderzeniu z rzeczywistością. Chwilę tylko trwało, nim moje mocne postanowienie przestało cokolwiek znaczyć.

Pod wieczór odwiedziła mnie jak zwykle mama z pysznym obiadem i deserem. Ucieszyła się bardzo, widząc mnie w lepszej formie i w weselszym nastroju, lecz nie miała bladego pojęcia czym ów nastrój był spowodowany. Teraz czerwienię się jak to piszę i jest mi głupio, ale wtedy to było normalne: okłamać, oszukać, zakombinować.

Opowiadała bardzo szczęśliwa i podekscytowana, że mój starszy brat, wtedy studiujący w Warszawie, jest w stałym kontakcie w punktem na Hożej i tam go zapewnili, że miejsce w ośrodku czeka i że od razu po wyjściu ze szpitala muszę tam pojechać. Martwiła się tylko, że będę tam musiał być aż dwa lata, ale wizja trzeźwego najmłodszego synka jawiła się na jej twarzy szczęśliwym obliczem i cierpliwością.

Na kilka dni przed wyjściem ze szpitala znów niespodziewanie pojawił się mój koleś z ofertą super towaru w bardzo atrakcyjnej cenie. Czekałem w podświadomości na niego, choć wmawiałem sobie, że ten ostatni raz to był naprawdę ostatni. Przyszedł w momencie kiedy byłem totalnie bez kasy i widziałem jak wkurwił się na maksa. Tak jak poprzednim razem, teraz też znaleźliśmy salomonowe wyjście z sytuacji.

Dałem mu w zastaw swój dowód osobisty bez którego nie mogłem pojechać do ośrodka, a to z kolei było dla niego gwarancją że kasa mu wpłynie zaraz po moim wypisie ze szpitala.

I znów ta sama łazienka, ta sama piżama i to samo uczucie.



Wtedy też przekonałem się, że uzależnienia nie leczy się ambulatoryjnie, że pobyt gdziekolwiek, w jakimkolwiek miejscu odosobnienia, bez wcześniejszego umeblowania pod "własnym sufitem", jest po prostu stratą czasu.

Po kilku dniach wyszedłem ze szpitala. W domu byłem dosłownie dwa dni i następnego ranka spakowałem w niewielką torbę kilka najpotrzebniejszych ciuchów. Objętość bagażu sugerowała bardziej, że jadę gdzieś na weekend niż na dwuletni pobyt po za domem.

Mama przygotowała pyszne i obfite śniadanie, dała mi pieniądze na bilet i na kieszonkowe do ośrodka. Płakała na pół ze szczęścia, a na pół ze strachu. Uściskała mocno i ucałowała po matczynemu, a ja obiecałem, że jak dojadę to napiszę list z informacją jak tam jest. Jeszcze tylko odbiór dowodu od mojego towarzysza niedoli i już można było jechać do nowego nieznanego życia.

Pech chciał, że wchodząc do kolegi, już na klatce schodowej poczułem zapach odparowywanego rozcieńczalnika, a to mogło oznaczać tylko jedno: produkcja idzie w najlepsze i właśnie dobiega końca.

Oczywiście nie myliłem się. Zapukałem umówionym, tajnym sygnałem. Kolega otworzył szybko drzwi i jeszcze szybciej je zamknął, gdyż działalność w warunkach totalnej konspiracji mieliśmy opanowaną do perfekcji.

Na stole stała już świeżo wyprodukowana porcja towaru. W pierwszej chwili udałem, że nawet mnie to nie interesuje, że tylko biorę dowód, oddaję zaległy dług i spadam na dworzec, gdy nagle mój koleś mówi:

- No pojebało cię stary? Nie przywalisz na odchodne? Zobacz jaki towar pierwsza klasa... - powoli i z aptekarską dokładnością wciągając świeżą produkcję do dwudziestocentymetrowej strzykawki. - Ile masz jeszcze kasy? - zapytał niby od niechcenia.

- Coś tam mam, ale wiesz, muszę jeszcze kupić bilet i mieć na fajki w ośrodku i na jakieś drobne wydatki. - Odpowiedziałem wymijająco.

Szybko okazało się, że bilet to kupię u konduktora, albo raczej dam mu po cichu pół ceny w łapę, a za oszczędzoną różnicę wejdę w posiadanie działki świeżego koksu, przygotowanego do konsumpcji na miejscu. Przywaliłem bardzo solidną porcję, a że byłem świeżo po detoksie, to kopało podwójnie.

Ledwo wyszedłem od koleśia z domu i doczołgałem się na dworzec. Taki byłem nawalony, że nie mogłem iść na prostych nogach. Całe szczęście, że wsiadłem w odpowiedni pociąg. Z konduktorem szybko bardzo znaleźliśmy wspólny język, a szeleszczący banknot przycementował nasza znajomość.

Jechałem tępo patrząc w okno.

Siedzieli w przedziale jacyś ludzie i chyba nawet komentowali moje poniżej krytyki zachowanie, że przysypiam opierając się po chamsku o towarzyszy podróży, że mi ślina z ust zwisa i że palę dużo papierosów. Latało mi to oczywiście koło dupy, przecież jechałem ze skierowaniem do miejsca gdzie leczą narkomanów.



Różne legendy i wieści gminne krążyły w owym czasie na temat ośrodków MONAR. Że trzeba ciężko pracować, że obcinają każdemu łeb na łyso, że każą chodzić w drelichach, że żarcie do dupy i że w ogóle to jest przejebane i bez sensu.

Tak na prawdę to nie miałem ochoty na jakieś wyjazdy dokądkolwiek, a już na pewno nie na wakacje ośrodkowe. Wtedy byłem jeszcze po innej stronie barykady. Chociaż narkotyki zabrały mi kilka lat młodości i zdrowia, to mentalnie nie byłem gotowy na terapię. Wyjazd do ośrodka w Zapowiedniku to była kolejna ucieczka. Tym razem ucieczka przed wymiarem sprawiedliwości.

Milicja radomska prowadziła postępowanie przygotowawcze przeciwko mnie i kilku moim kolegom. Zarzut dotyczył produkcji i sprzedaży środków odurzających. Mówiąc otwartym komunikatem wybór był bardzo wąski: albo szybki detoks i wyjazd do ośrodka resocjalizacji, albo do pierdła. Więzienia bałem się bardzo i dlatego grzecznie jechałem pociągiem do miejsca przeznaczenia, bo wizja najbliższej przyszłości w charakterze skazanego nie była najprzyjemniejsza.

Do Zapowiednika dotarłem tuż przed wieczorem, taksówką ze Starogardu Gdańskiego. Jadąc, już z daleka widać było duży poniemiecki dworek, jakieś mniejsze budynki gospodarcze i sporo dużych drzew. Okolica naprawdę bardzo malownicza i spokojna.

Pan kierowca Taxi szarmanckim gestem depnął po hamulcach, oznajmiając tym samym, że nasza podróż właśnie dobiegła końca. Zapłaciłem za kurs poczciwemu człowiekowi i w miarę sprawnie wysiadłem z samochodu zamykając za sobą drzwi.

W tym właśnie momencie dopiero dotarło do mnie, że jestem gdzieś na północy Polski, kilkaset kilometrów od domu i w zupełnie nowej, nieznannej mi dotąd rzeczywistości. Pojęcia nie miałem co mnie tu czeka, ale wiedziałem, że muszę tu zostać.

Stałem krótką chwilę na drodze prowadzącej do dworku i całkiem niedaleko zauważyłem wysokiego, postawnego mężczyznę, dziecinnie bawiącego się z psem rasy owczarek niemiecki. Podszedłem bliżej, do owego jegomościa, dosłownie na odległość dwóch metrów, w momencie gdy on właśnie podnosił kawałek kija z ziemi, którego rzucał swojemu pupilowi.

Zamurowało mnie przez moment. Około trzydziestoletni facet, prawie dwumetrowego wzrostu o siwiejących włosach i dziecinnie szczerym uśmiechu. Twarz miał spokojną, majestatyczną wręcz. To była taka majestatyczność, do której chciało się lgnąć. Resztkami swojej uprzejmości i elegancji ukloniłem się zdawkowym dzień dobry ,oświadczając jednocześnie, że właśnie jestem szczęśliwym posiadaczem skierowania do tutejszej placówki, na dowód czego pokazałem trochę zmiętą kartkę będącą moją przepustką do nowego życia.

Uśmiechnął się bardzo przyjaźnie, jakby chciał powiedzieć: cieszę się stary, że przyjechałeś do nas, ale powiedział coś zupełnie innego. Z politowaniem, z nieskrywanym rozczarowaniem i pozytywną złością, powiedział do mnie zdawkowo, jednocześnie rzucając kij, za którym pobiegł rozkoszny psiak.



- Jesteś nawalony przyjacielu kak meserschmit, a tu nie ma dla takich miejsca. Warunkiem pobytu tutaj kogokolwiek, jest absolutna trzeźwość. Jeśli masz skierowanie do nas to przyjdź ewentualnie jutro jak już wytrzeźwiejesz, a teraz spadaj stąd.

Godzina było koło 21.00 i powoli mrok zasypywał okolicę.

- Gdzie tu się można przenocować do jutra? - zapytałem zbaraniały.

- Gdzie chcesz, ale na pewno nie na terenie ośrodka. - Odpowiedział sympatyczny gość i dodał jeszcze żebym spadał jak najprędzej, aby nikt z pacjentów nie widział mnie przywalonego.

Wkurwił mnie ów jegomość, że pogonił przyszłego pacjenta za bramę, ale zrobił na mnie mimo wszystko pozytywne wrażenie. Polubiłem go.

Dokąd pójść? Gdzie ja w ogóle jestem? Dookoła pola, las i za chwilę będzie ciemno. Może pojedę z powrotem do domu, przeszło mi przez głowę?

Przecież nie masz baranie kasy na jakąkolwiek podróż, odpowiedział mój wewnętrzny "minister finansów". Przecież cały swój majątek zostawiłeś u kolegi w Radomiu, a za ostatni grosz przyświrowałeś burżuja i przyjechałeś taksówką tutaj jak hiszpański wójt, więc teraz kładź się gdzieś pod drzewem i się módl żeby cię wilk nie opierdolił.

Zobaczyłem w oddali kilka blado majających świateł, co mogło sugerować, że całkiem niedaleko od tego miejsca jest jakieś życie homo sapiens. Może dobrzy ludzie przenocują gdzieś w stodole, pomyślałem, idąc w tamtą stronę coraz żywszym krokiem.

Po drodze już układałem sobie w głowie, jaki kit wcisnę spotykanym ludziom, żeby dali się gdzieś przenocować. Dosłownie po dziesięciu minutach podszedłem do obejścia, w którym paliło się już wieczorne światło na podwórku i widziałem, że ktoś tam jest.

Akurat trafiłem na dwoje starszych ludzi, jak się okazało później, gospodarzy owego domostwa. Ukłoniłem się grzecznie i powiedziałem, że przyjechałem w odwiedziny do mojego brata, do owego ośrodka, tam w dolinie koło lasu, ale dopiero jutro będę mógł się z bratem zobaczyć i czy nie dało by rady przespać się gdzieś u szanownych Państwa. Sekundę dosłownie popatrzyli na siebie poczciwi gospodarze i niemal jednocześnie odpowiedzieli:

- Oczywiście, jak najbardziej i z przyjemnością, będzie nam bardzo miło.

Ja na to, że niestety nie mam kasy i nie będę w stanie zapłacić za nocleg i w ułamku sekundy zrozumiałem jaką strzeliłem gafę, chyba ich obraziłem.

- Jakich pieniędzy? O czym ty mówisz chłopcze? - Zapytał mnie pan gospodarz, obejmując przyjaźnie za ramię.

Pani gospodyni przygotowała wspaniałą kolację. Pyszny wiejski chleb i do tego konserwa, taką jak na żniwach dają i pomidor z cebulą i jeszcze duży kubek gorącej herbaty. Do dziś pamiętam ten smak i nieraz nawet kupuję sobie konserwę Lunch Meat, gdyż ona do znużenia przypomina mi tamten smak i tamte chwile.



Czułem się jak bydlak. Musiałem ich kłamać odpowiadając na pytania: Skąd jestem? Co tu robi mój brat? Czy rodzice żyją? Czym się zajmują? Czy studiuje? Czy pracuję? I tak dalej. W międzyczasie okazało się, że mam przygotowany pokój z wygodnym łóżkiem z pierzyną taką jak na wsi i z ogromną poduszką.

Jaki to był piękny dom, chociaż bardzo skromniutki. Ileż tam było dobroci ludzkiej i życzliwości. Uświadomiłem sobie wtedy, że jedyną osobą, która kiedykolwiek tak mnie traktowała, to była moja mama. Przecież owi ludzie widzieli mnie pierwszy raz w życiu i spokojnie mogli nie zgodzić się na jakikolwiek mój nocleg.

Jak już się kładłem do ciut skrzypiącego łóżka, wtedy przyszedł pan gospodarz i zaproponował, że jeśli nie jestem zbyt zmęczony i lubię piłkę nożną, to właśnie teraz jest transmisja z Mistrzostw Europy i jak mam ochotę, to on włączy telewizor, ale trochę przyciszy, ponieważ oni idą zaraz spać, a ja żebym tylko wyłączył odbiornik jak już będę chciał zasnąć.

Nie pamiętam kto był głównym bohaterem spotkania, kto strzelił gola, czy w ogóle ktoś strzelił, ale doskonale pamiętam klimat tego domu. Łza zakręciła mi się wtedy w oku, że obcy ludzie zupełnie bezinteresownie i ot tak po prostu po ludzku, traktują Cię jak swoje dziecko. Wtedy to było dla mnie coś absolutnie nowego. W moim dotychczasowym świecie liczyło się tylko, aby kogoś okłamać, wykorzystać i mieć dla siebie jak najwięcej.

Długo wtedy nie mogłem zasnąć, chociaż trudy podróży dawały o sobie znać. Jak się później okazało, to właśnie tam zaczął się proces mojej resocjalizacji. Zupełnie obcy ludzie, starsi i utrudzeni życiem, ot tak po prostu dali mi wspaniałą lekcję miłości, szacunku i dobroci. Teraz rozumiem co wtedy czuli, ponieważ wiem co to znaczy pomóc komuś bezinteresownie i wiem jaka to przyjemność i radość.

Nazajutrz obudziła mnie pani gospodyni zapachem jajecznic, którą wciągnąłem jak przeciąg. Podziękowałem najlepiej jak umiałem za gościnę i za nocleg, a w odpowiedzi usłyszałem, że nie ma za co i że życzą mi wszystkiego najlepszego i żeby Pan Bóg miał mnie w swojej opiece.

Dotarłem do ośrodka koło godziny 9.00 i miałem wrażenie, że czekają na mnie.

Dlaczego tutaj się znalazłem?

Dlaczego w ogóle sięgnąłem kiedyś po narkotyki?

Dlaczego miliony ludzi poddaje się nałogom?

Cóż to za potężna filozofia życiowa, która powoduje, że na własne życzenie ludzie zostawiają wszystko co mają najcenniejsze i najważniejsze i idą jak zbłąkane bezradne owieczki na łaskę i niełaskę nałogu?



Jaka jest jego definicja? Czy istnieje jakakolwiek racjonalna definicja czegoś nieracjonalnego, w tym przypadku samookaleczenia własnego ciała i osobowości?

Bardzo długo czasu potrzebowałem, aby uświadomić sobie czym jest nałóg i zrozumieć jego mechanizmy i specyfikę działania. W czasie dziewiętnastu miesięcy pobytu w ośrodku leczenia uzależnień w Zapowiedniku, rozłożyłem go na najdrobniejsze szczegóły. W trzeźwym życiu ośrodkowym, w tysiącach codziennych sytuacji i zdarzeń, zacząłem dostrzegać go coraz bardziej. Poznawałem swoje inne oblicze, na które nigdy nie zwracałam uwagi, czy raczej nie chciałem zwracać, bo to nie było wygodne.

Mówiąc najbardziej obrazowo, **nałóg to taki fałszywy, obłudny kolega skurwysyn**, który największą satysfakcję ma wtedy, gdy robisz to co on ci nakazuje. **Śmieje Ci się w twarz i uwielbia patrzeć na to, jak robisz z siebie szmatę i pośmiewisko.** On nie ma nikogo innego oprócz Ciebie i dlatego sto procent swojej uwagi i aktywności poświęca Tobie.

Przy tym **jest bardzo inteligentny, chytry i przebiegły. Zna Ciebie lepiej niż Ty sam.** Doskonale wie kiedy może i kiedy powinien zaatakować. Daje czasami **złudne poczucie, że go nie ma, albo że to Ty nim kierujesz, ale gównie prawda** i tak i tak w odpowiednim dla niego i w słabym dla Ciebie momencie atakuje. Atakuje mądrze, przebiegle a przede wszystkim bardzo skutecznie.

Jest jak kameleon. Ma wiele twarzy, zabarwień i odcieni, jest również bardzo czujny i skupiony tylko na Twoich słabościach.

Tak samo jak komórki nowotworowe rozwijają się najlepiej w organizmie zakwaszonym, zaczynając atakować najsłabsze i najbardziej wężłe części naszego organizmu, dokładnie tak samo nowotwór osobowości, czyli nałóg - **atakuję najbardziej słabe obszary naszego „Ja”.** On nie bierze się z nikąd, on nie spada jak grom z jasnego nieba. **Narkomania nie jest chorobą przenoszoną drogą płciową czy dziedziczną genetycznie.** Powstaje i rozwija się czasami całymi latami w naszej świadomości w osobowościach z podatnym gruntem.

Pochodzę z rodziny określanej mianem robotniczej. Rodzice bardzo ciężko i uczciwie pracowali fizycznie. Obecnie oboje są już od dawna na emeryturze. Mieszkaliśmy w jednym z bloków w Radomiu na Borkach.

Tata był pracownikiem fizycznym fabryki łączników na Potkanowie. Był brygadzystą, czyli takim niby współczesnym menedżerem. Był odpowiedzialny wraz ze swoim zespołem za jakąś tam część procesu produkcji i często przypominał mi swoim zachowaniem, takiego "Pocziwinę", filmowego bohatera z czasów komunistycznych. Ogromnie zaangażowany i odpowiedzialny i w stu procentach oddany swojej fabryce oraz swojej filozofii.

Mama całe życie zawodowe pracowała w handlu. W szczytowym okresie była przez długi czas kierownikiem sklepu spożywczego, w radomskiej spółdzielni PSS Społem.



Jestem najmłodszym dzieckiem z naszego rodzeństwa. Mam jeszcze trzech starszych braci. Często miałem wrażenie, że jako najmłodszy syn mogłem liczyć na szczególne uprzywilejowanie.

No właśnie?!

To dlaczego sięgnąłem po narkotyki?!



ROZDZIAŁ II

Pierwsze dni

Pamiętam, to była sobota 12 maja 1984 roku. Około godziny 9:30 dotarłem do bramy placówki. Poranny, majowy spokój delikatnie mąciły odgłosy ośrodkowego życia. Gdzieś było słychać stukanie młotka, gdzieś odgłosy pasących się krów, a jeszcze gdzieś głosy dzieciaków bawiących się bezstresowo.

Jakież było zaskoczenie, gdy pierwszą osobą napotkaną wtedy był mój bardzo dobry kolega, z którym jeszcze całkiem niedawno wspólnie braliśmy narkotyki. On również miał zdziwioną i chyba nawet zadowoloną minę, ale okazało się, że kolega pełni bardzo ważną funkcję w hierarchii ośrodkowej.

Był w SOM (Służba Ochrony Monaru), czyli był w grupie 3-4 osób z pośród ponad trzydziestoosobowej społeczności ośrodkowej, która miała za zadanie permanentnego sprawdzania najróżniejszymi metodami, trzeźwość wszystkich członków społeczności.

Byłem zdziwiony, że przywitał mnie jakoś tak oficjalnie automatycznym „cześć” i oznajmił, że koniecznym będzie udać się do jednego z pomieszczeń w dworku w celu szczegółowego sprawdzenia stanu trzeźwości oraz rzeczy, które ze sobą przywiozłem. Po chwili pokazał się jeszcze jeden chłopak i wspólnie wzięli się za szczegółową kontrolę.

Powiem tak, rewizja osobista to przy tym pikuś. Wydawało mi się wtedy to oczywiście przesadzone i bez sensu, takie drobiazgowo przeszukiwanie każdego centymetra ubrań i pozostałych rzeczy. Widać było, że panowie są bardzo sprawni w tym co robią i doskonale wiedzą czego i w jaki sposób szukać. Szybko też zrozumiałem, że tego rodzaju działania prewencyjne są bardzo ważne i konieczne w codziennym funkcjonowaniu placówki, aby utrzymać w ryzach nie najgrzeczniejszą przecież młodzież.

Próbowałem silić się na jakieś żarty i taki chciałem być fajny, ale chłopaki bardzo szybko uświadomili mnie, że nie rozmawiamy tu o tym co było kiedyś, a raczej skupiamy się na tym co jest obecnie i na tym co będzie. Mówiąc wprost usłyszałem komunikat: „Słuchaj gościu - my tu o ważne rzeczy się bijemy, nie jesteśmy tu na wakacjach i w nagrodę, tylko napierdalamy się o nasze życie – ROZUMIESZ? Dziwne mi się to wydało i takie w ogóle nie naturalne, ale w ich głosie było czuć powagę sytuacji.

Po około dwóch godzinach wnikliwego sprawdzania oraz po zapoznaniu mnie z zasadami i regułami funkcjonowania ośrodka, wreszcie poznałem miejsce gdzie było moje łóżko. Czteroosobowy pokój obok sali kominkowej. Widać było, że ktoś w tym pokoju już mieszka, ale kompletnie nie wiedziałem z kim przyjdzie mi spędzać najbliższe dni.



Ośrodek w Zapowiedniku powstał w 1982 roku. Na początku działalności placówki było to obiekt do totalnego remontu, po kilku czy kilkadziesiąt nawet latach niefunkcjonowania. W czasie gdy zacząłem swoją terapię spora część pomieszczeń była już wyremontowana i nadająca się do w miarę komfortowego zamieszkania. Jak to się mówi „Szału nie ma, ani dupy nie urywa”, ale można było być spokojnym o dach nad głową.

Około 12.00 zaczęło się! Pierwsza praca! Miałem to „szczęście”, że dzień wcześniej przywieziono kilka ton węgla i pozostało tylko proste zadanie, ów węgiel przetransportować do piwnicy obok kotłowni i ja miałem sobie z tym poradzić.

Duża łopata, ja i kilka ton czarnego złota. Ależ to był widok! Ledwo na nogach stałem trzymając w ręku narzędzie do mojego sukcesu, a sama wizja wielu godzin spędzonych na rzucaniu węgla do kotłowni powodowała, że robiło mi się słabo.

Myślałem sobie wtedy: To chyba jest jakaś banda kretynów i ściemniaczy. Pewnie sami obijają się na maxa, a mi każą robić najczarniejszą robotę. Pracowałem w poczuciu niesprawiedliwości i braku elementarnej wyrozumiałości. Oczekiwałem najbardziej zrozumienia, współczucia, potraktowania na szczególnych przywilejach i oczywiście oczekiwałem jakiegokolwiek przerwy. Pogoda była idealna dla odpoczynku i relaksu, a mniej nastrajała do fizycznej pracy.

Próbowałem rozglądać się dookoła i bardziej poznać i zrozumieć o co tu chodzi tak naprawdę.

Czułem się jak bym był w jakiejś totalnie innej rzeczywistości. Nie miałem bladego pojęcia czy to dobrze, że jestem tutaj czy to jakaś totalna pomyłka. W głowie pustka i strach przed tym co tu będzie, pomieszana ze strachem i wizją tego co może mnie czekać gdybym stąd chciał wyjechać. Myśli kłębiły mi się w głowie i miałem wrażenie, że jestem totalnie rozklekotany emocjonalnie.

Praca fizyczna nigdy wcześniej nie była dla mnie czymś oczywistym. Nie lubiłem pracować, nie widziałem sensu w codziennym chodzeniu do pracy. Lekko, łatwo i przyjemnie to był mój ideał pracy. Miałem wrażenie, że jestem obiektem permanentnej inwigilacji, że ktoś obserwuje mnie i tylko czeka, aby przyłapać mnie na obijaniu się.

Pierwsze ruchy łopata były niezdarne, trudne i kosztowały mnie wiele wysiłku. Co chwila prostowałem kręgosłup i udawałem, skrajnie zmęczonego, odpalając kolejnego papierosa i popijając wodę dostarczoną przez kogoś z kuchni. Uśmiecham się teraz pisząc ten fragment, ponieważ kojarzę dużo ludzi postępujących, czy pracujących podobnie. Czy to w firmach, z którymi współpracowałem czy współpracuję, czy to na salach lub boiskach treningowych, czy w wielu innych miejscach są ludzie, dla których najważniejszą kwestią jest zrobić dobre wrażenie i broń Boże nie napracować się zbyt.

Co ci ludzie ośrodkowi tu robią, jak funkcjonują, co tu jest ważne, w jaki sposób mogę się najwygodniej tu ustawić itd.? Mnóstwo takich i podobnych pytań przelatywało z szybkością błyskawicy. W ogóle nie mogłem skupić się na niczym, czy racjonalnie myśleć.



Codziennosc ośrodkowa to oczywiście regularna praca, wcześniej rozpisana i ustalona przez osoby odpowiedzialne za proces planowania i koordynacji zadań, czyli ZARZĄD. To również czas wolny, różne zajęcia i aktywności wynikające z życiowych planów każdego z nas. Ktoś chodził do szkoły, ktoś uczył się grać na instrumencie, ktoś języka angielskiego, a ktoś aktywnie udzielał się w sporcie, a jeszcze ktoś po prostu odpoczywał.

Mówiąc ogólnie ośrodek żyje swoim życiem i jak najbardziej życiowe są tu wszystkie elementy codzienności. Praca to najczęściej podstawowe zajęcia typu sprzątanie dworku i biurowca. Dyżur na kuchni, prace w terenie: uprawa warzyw, utrzymywanie porządku, koszenie trawy, grabienie liści odśnieżanie itd.

Jest również na terenie ośrodka stolarnia z dość dobrym parkiem maszynowym, gdzie osoby mające pojęcie w temacie obsługi owych maszyn i stolarki w ogóle, robili różnego rodzaju wyroby, które najczęściej lądowały w dworku jako meble użytkowe. Pracowaliśmy, jak to zazwyczaj bywa, w godzinach 7.30-15.00 z przerwą na drugie śniadanie. Oczywiście wcześniej śniadanie o 7.00 i krótka odprawa, na której omawialiśmy aktualny podział i specyfikę robót.

Oszołomy.

W nomenklaturze ośrodkowej każdy kto tu przyjeżdżał, otrzymywał pieszczotliwe miało oszołoma. Może i to dość obraźliwe określenie na pierwszy rzut oka, ale bardzo dosadnie obrazujące stan rzeczy. Ciężko oprzeć się wrażeniu, że pierwsze tygodnie pobytu powodują lekkie bądź mniej lekkie oszołomienie.

Przede wszystkim ogromny przeskok z narkomańskiego bagna do życiowej normalności, gdzie są jakieś zasady, jakaś moralność, jakiś sens tego co się robi i poczucie, że faktycznie tu ludzie się zmieniają, powoduje coś w rodzaju oszołomienia właśnie.

Najważniejsze pryncypia i zwyczaje panujące w ośrodku to:

- Pełna abstynencja
- Uczciwość
- Otwartość,
- Solidność
- Szybkość reakcji w sytuacjach zagrożeń.
- Codzienna walka ze swoimi słabościami
- Pomoc innym
- Planowanie własnej przyszłości
- Przygotowanie do zderzenia z życiem „na zewnątrz”.

Bez wchodzenia w szczegóły specyfiki terapeutycznej, można by powiedzieć, że ośrodek to oaza normalności. Dla osób żyjących poza ośrodkiem, w tak zwanym normalnym świecie, i nie mających problemów uzależnień, nie jest niczym ani dziwnym ani nadzwyczajnym wyżej wymieniona uczciwość, solidność, praca, jakość relacji itd.



Natomiast dla narkomanów są to kwestie bardzo trudne do zaakceptowania i wprowadzenia w codzienność. Z tymi obszarami życia ludzie uzależnieni mają największe problemy.

Specyfiką ośrodka jest również fakt, że jest to obiekt otwarty i nikt tam nie jest zamykany i nikogo nie dotyczy coś w rodzaju ograniczenia wolności. Można natomiast być z ośrodka wyrzuconym, za szeroko rozumianą niesubordynację czy złamanie abstynencji. Każda z osób tam będących ma możliwość w dowolnej chwili opuścić placówkę i po prostu wyjechać. Taka sytuacja powoduje, że każdy sam dba o swoją resocjalizację i każdy sam siebie pilnuje przestrzegając zasad i reguł obowiązujących wszystkich domowników. W myśl zasady, że najmocniej trzyma luźny łańcuch.

Osoby mieszkające w ośrodku to społeczność. Społeczność, która doskonale wie dlaczego i z jakiego powodu jest tutaj i wie, że proces terapii grupowej, to poczucie wsparcia i pomocy od innych.

W tamtym czasie, mając dwadzieścia jeden lat, byłem najmłodszym członkiem społeczności ośrodkowej. Ówczesna narkomania i tym samym narkomani różnili się od obecnego trendu uzależnień. W tamtym czasie podstawowym środkiem był wspomniany w pierwszym rozdziale kompot. Zbierający śmiertelne żniwo brunatny płyn.

Długoterminowe nadużywanie środków odurzających zawsze niesie ze sobą ryzyko utraty zdrowia i życia, ale w tamtych czasach było to bardzo widoczne. Sporadycznie spotykało się osoby w dojrzałym wieku, które regularnie sięgały po narkotyki. Narkomani albo umierali młodo, albo wychodzili z uzależnienia, co oznaczało w praktyce, że ich życie miało najczęściej dwie drogi: albo terapia, leczenie i wyrwanie się z nałogu albo po prostu śmierć.

Ja chociaż czułem się bardzo słabo fizycznie i coraz bardziej dawały o sobie znać dolegliwości zdrowotne, można by powiedzieć, że byłem okazem zdrowia w porównaniu z moimi starszymi kolegami. Zanik żył, wirus wątroby, zmiany skórne, choroby weneryczne, braki w uzębieniu, żółtaczka - to tylko niewielka część zachorowań wśród narkomanów. Na szczęście w naszych kręgach nikt nie znał w tamtych czasach wirusa HIV czy AIDS. O pierwszych przypadkach śmierci w konsekwencji HIV i AIDS usłyszałem jakoś w 1987 roku.

Stwierdzenie „My tu walczymy o życie” miało wtedy bardzo wyraźną formę i znaczenie. Pisząc ten fragment, bardzo żywo mam przed oczyma wielu moich znajomych kolegów i bliskich przyjaciół, których już nie ma wśród nas. Zmarli w bardzo młodym wieku, przegrywając ze swoim uzależnieniem. Śmiertelne żniwo wydawało się nie mieć końca, a tendencja i rozwój dostępu do środków psychoaktywnych idealnie pomagały w rozwoju tego zjawiska.

Spotykam również te osoby, które zwycięsko poradziły sobie z uzależnieniem. To bardzo miłe chwile, gdy czujemy że jesteśmy zupełnie innymi ludźmi niż kiedyś. Prowadzimy obecnie zupełnie inne życie i inne priorytety przyświecają naszej codzienności, jedno co zostało z dawnych lat, to wyostrome poczucie humoru i pozytywny błysk w oczach obrazujący bystrość i sprawność szarych komórek.



Góra węglowa zmniejszała się bardzo powoli, a czas robił wrażenie stojącego w miejscu. Ile jeszcze tu zostanę? Kiedy będzie jakaś przerwa? Przecież ja nie dam rady tego węgla zrzucić do kotłowni, to ponad moje siły, takie dylematy zajmowały 100 procent moich myśli.

Aż tu nagle jedna z przyjemniejszych chwil...

Z dziką radością usłyszałem dźwięk dzwonka informujący, że załoga kuchni zaprasza właśnie na obiad. Szedłem powoli w stronę stołówki i nie sposób było nie zauważyć, jak z każdej strony rozległego terenu ośrodka pokazywali się jego mieszkańcy. Szedłem w towarzystwie kolegi, który starając się być grzecznym i pomocnym opowiadał o zwyczajach panujących w ośrodku.

To właśnie wtedy dowiedziałem się, że obiad jest zawsze o 15.00 a w soboty o 14.00, że w kuchni pracują osoby dzień wcześniej wyznaczone do całodziennych zmian. Dowiedziałem się, że jedna z osób to szef kuchni odpowiadający za ośrodkowe menu i logistykę kuchennej zakupu. Dziwił mnie trochę fakt, że w kuchni bardzo rygorystycznie przestrzegane są przepisy Sanepidu i czystości przygotowywania i wydawania posiłków, włącznie z przygotowywaniem próbek potraw do ewentualnej kontroli.

Idąc, miałem wrażenie, że wszyscy się na mnie patrzą i za skarby świata nie miałem pojęcia jak się zachować i jaką założyć maskę.

Przed wejściem na stołówkę obowiązkowo trzeba było ubyc ręce. Trzy duże stoły ustawione w kształcie litery U, po obu stronach stołów ławki, na których siadali amatorzy kulinarnych ośrodkowych frykasów. Stołówka robiła wrażenie bardzo miłej, zadbanej, czystej i przyjaznej. Wtedy miałem przyjemność zobaczyć praktycznie wszystkich mieszkańców placówki i pierwszy raz poczułem się w ośrodku fajnie i bezpiecznie.

W czasie obiadu – jak to zwykle bywa w wykwinnych lokalach – obsługiwali nas elegancko ubrani kelnerzy, na bieżąco przynosząc dania i zabierając puste naczynia. Wnikliwie przyglądałem się wszystkim. Zastanawiało mnie bardzo dlaczego tutaj się znaleźli, czy fakt, że tutaj są w czymkolwiek im pomaga, czy rzeczywiście zmieniają swoje życie i czy rzeczywiście leczą się z narkomanii.

Pamiętam, że nie odzywałem się ani słowem, czując się jak faktyczny oszołom, ale widać było, że domownicy tutaj naprawdę żyją. Mają jakieś swoje sprawy do omówienia, o coś się spierają, na coś umawiają, gdzieś obok słychać jakieś dowcipy i żarty sytuacyjne. Atmosfera prawdziwie domowa, wesoła i przyjazna.

Nie pamiętam jakie dania były serwowane, ale pamiętam moment kiedy roześmiałem się na cały głos. Słyszę głos jednego z biesiadników:

- Panie kelner, ja to taką konkretną, męską porcję poproszę! - Po czym dosłownie w sekundę słychać głos z drugiego końca sali:

- A w czym imieniu prosisz? – I oczywiście cała stołówka ze mną włącznie wybuchła gromką salwą śmiechu.

Ośrodek jako placówka był finansowany z kasy NFZ, czyli kolokwialnie mówiąc – było bardzo skromnie jeśli chodzi o możliwości fanaberii kulinarnych, ale na pewno



nikt tutaj nie chodził głodny i zawsze, w razie potrzeby można było wciągnąć przysłowiowego kromala z czymś tam.

Przez chwilę czułem się komfortowo, aż do momentu, gdy podszedł do mnie ktoś z zarządu informując, że będę miał niewątpliwy zaszczyt najbliższe kilka godzin spędzić na zmywaku, bo przecież ktoś to musi zrobić i pozmywać po obiedzie, a porządek w ośrodku to kwestia priorytetowa.

Nie miało oczywiście to nic wspólnego z wykorzystaniem „Świeżego oszołoma” do najczarniejszej roboty, bardziej chodziło (jak dowiedziałem się później) o to, czy praca fizyczna i w ogóle bycie w pracy sprawia mi problem.

Oczywiście nie pomylili się nawet na grosz – praca to było coś czego nie lubiłem wybitnie. Byłem gorącym orędownikiem filozofii, że do roboty to jest koń i traktor, a ja to ewentualnie mogę popatrzeć jak ktoś pracuje, mogę ocenić czy pracuje dobrze i z sensem czy nie, no i ewentualnie byłem w stanie nadzorować prace innych.

A tu dupa.

Kolejny cios w moją narkomańską filozofię. Wszedłem do zmywalnika i świeczki stanęły mi w oczach, gdy zobaczyłem stosy talerzy, garnków, kubków itd.

„Jezu, to jakiś koszmar. Przecież ja do pasterki nie wyjdę z tego zmywalnika” myślałem zdruzgotany. Głębokie aluminiowe zlewy patrzyły na mnie drwiąco i zapraszały do siebie. W jednym proces zmywania, w drugim płukanie i oczywiście ładowało wszystko na przygotowanej obok suszarce.

Bluzgałem pod nosem na ogólnie panująca niesprawiedliwość. Stałem nachylony nad stosem brudnych naczyń walcząc z rzeczywistością i czułem się jak bym wpadł z deszczu pod rynnę. Po zmaganiach z górą węgla gdzie czułem, że coraz bardziej boli nieprzyzwyczajony do fizycznej pracy kręgosłup, myślałem, że teraz to może być tylko lżej, a tu lipa!!!

Stąpałem z nogi na nogę, wyginałem się jak chamski scyzoryk próbując złagodzić trudy pracy w zmywalniku, aż w pewnym momencie podchodzi mój kolega, który przyjmował mnie rano do ośrodka i zaczynamy rozmawiać.

Opowiadał, że bardzo się cieszy, że trafił właśnie tutaj i że jest tu już ponad 5 miesięcy. Mówił też, że jedną z pierwszych jego prac była również walka w zmywalniku, ale nie było to zmywanie po standardowym obiedzie, a prawie dwunastogodzinne sprzątanie całej kuchni. Od razu zrobiło mi się lepiej i poczułem się wyróżniony, tak subtelną ilością naczyń do zmywania. Uporałem się jakoś ze zmywalnikiem, a jedna z koleżanek (obecna szefowa kuchni) przykomplementowała moje starania.

Z kuchni coraz intensywniej uaktywniały się smakowite zapachy pieczonych ciast, perwersyjnie drażniąc moje zmysły powonienia. Dowiedziałem się po chwili, że owe ciasta przygotowywane są na wyjątkową okazję. Dwójka domowników obchodziła swoje urodziny, a sobotni wieczór miał być wspólnym świętowaniem i wspólną zabawą. Cieszyłem się jak dziecko, a powodów do radości było co najmniej kilka.



Pierwszy powód, że skończyłem na dziś pracę. Drugi powód, że wieczorem będzie impreza, a klimat imprezowy to było przecież moje środowisko naturalne. Trzeci powód, że wreszcie będę mógł iść do pokoju, odpocząć i poznać z kim będę dzielił miejsce pobytu. Czwarty powód, że jeszcze stąd nie zwiąłem.

W tamtym czasie byłem osobą bardzo zamkniętą i nieufną. W głębi duszy byłem bardzo słaby i bałem się. Bałem się kontaktów z ludźmi, bałem się, że ktoś się będzie ze mnie śmiał. Próbowiałem trzymać sztywną minę i udawać kozaka, ale z każdą minutą czułem, że to nie jest miejsce do kozaczenia i kozactwo przyniesione tutaj ze sobą w ogóle nie było ani fajne, ani potrzebne.

Zdziwienie moje sięgnęło zenitu, gdy okazało się, że w czasie imprezy urodzinowej również obowiązuje całkowita abstynencja. „Kurwa, co to za zabawa na trzeźwo? Pojebało ich chyba..” pomyślałem zbulwersowany. „Pewnie popijają gdzieś po cichu i walą koks, a mi wmawiają, że są trzeźwi”. Tak sobie myślałem wówczas i dał bym wtedy się pokroić, będąc pewnym swojej racji. Dopiero po kilku tygodniach pobytu i po kilku ośrodkowych imprezach nabrałem pewności, że wszystkich domowników obowiązuje całkowita abstynencja, bez względu na sytuację.

Chociaż czułem się nieswojo i sztucznie w czasie urodzinowego bankietu, to nawet fajnie pogadaliśmy z chłopakami ze wspólnego pokoju i kładąc się spać długo po północy, miałem wrażenie, że ten dzień trwał chyba ze sto godzin.

Przed snem wciąż myślałem, czy poradzę sobie tutaj, czy dam radę, czy mnie nie wyrzucą i chyba pierwszy raz zaczęło mi zależeć, żeby tu zostać i być częścią tej społeczności. Wtedy nie miałem pojęcia kto skąd jest, jak długo tutaj jest, na jakim jest etapie resocjalizacji. Wydawało mi się, że osób wkoło jest jakoś dużo.

Z czasem znaliśmy się wszyscy bardzo dobrze i wiedzieliśmy o sobie wszystko. Wspólne życie pod jednym dachem i w jednym celu, budowało wśród nas głęboką bliskość emocjonalną i taką więź spotykaną najczęściej wśród żołnierzy walczących o życie na jednym froncie.

Metodyka leczenia uzależnień stosowana w Zapowiedniku, to rodzaj terapii grupowej, gdzie każdy dla każdego jest równocześnie i pomocą i kontrolą. Każdy doskonale z nas wiedział, jak wygląda narkomańska codzienność i w jaki sposób żyliśmy przez ostatnie lata. Ciężko było w związku z tym oszukać jeden drugiego udając czy wmawiając sobie i innym, że jest inaczej niż jest.

Narkomani to w zdecydowanej większości wyjątkowo zdolne, utalentowane, błyskotliwe i inteligentne osoby, ale przy tym słabe z charakteru i żyjące w oparach stwarzanych przez siebie absurdów. To mistrzowie farmazonów, intryg i gmatwania sytuacji. To patologiczne kłamczuchy i pozoranci. Kasłacze (mówiący to co wypada powiedzieć), z postawą biednych misiów. Oj długo by tu można się rozpisywać o szczegółach narkomańskich postaw.

Jedno natomiast nie podlegało dyskusji i było faktem: Każdy z nas niejednokrotnie otarł się o śmierć. Każdy z nas miał w większym lub mniejszym



stopniu nadwątlone zdrowie fizyczne, a stan naszego zdrowia psychicznego doprowadził nas do tego miejsca właśnie.

W tym miejscu dowiadaliśmy się w szczegółach, jaka jest specyfika choroby uzależnienia i dowiadaliśmy się również jaką ma ona konstrukcję w indywidualnym przypadku każdego z nas. Było to informacje najczęściej nie do zaakceptowania, ponieważ kładły w gruzach i rozwalały nasz narkomański punkt widzenia i funkcjonowania, a jednocześnie wymuszały zajęcie zupełnie innej postawy niż dotychczasowa.

Walka ze swoimi słabościami, codziennie i bez przerwy. Szczegółowe rozpoznanie mechanizmu funkcjonującego w twojej świadomości. Mechanizmu, który rozkazuje ci wprowadzać własnoręcznie do krwioobiegu trujących substancji. W normalnym świecie jest to coś nie do pomyślenia nawet, natomiast u osób uzależnionych staje się istotą codzienności.

Z każdym dniem pobytu w ośrodku uświadamiałem sobie dlaczego zostałem narkomanem. Świadomość ta była bardzo przykra i bolesna dla mnie, ale był to niezbędny krok do podjęcia walki z nałogiem. Zdiagnozowanie, określenie i nazwanie po imieniu własnego raka świadomości doprowadziło mnie do źródła, czyli do miejsca gdzie się wszystko zaczęło.

Dlaczego, gdzie i na podstawie czego się zaczęło – o tym w następnym rozdziale.



Mirosław Ziętkowski „Dancing with the book”

Pierwszy na świecie projekt zakładający wydanie książki autorstwa 100 osób.
